23. Marca. r. 1822.

WANDA

Nr: 12.

TYGODNIK POLSKI.

Blondyn z Namiur.

Powieść Prawdziwa.

z Pamiętników tajnych pewnej Xiężny Francuzkiej.

(Ciąg dalszy.)

Blondyn nic niejadł cały dzień, a jeśli kupujący lub kupujące niebyły w sklepie, siedział pewnie w tylnej izdebce, i patrzał przez okno na altankę z jaśminu. Dopiero nad wieczorem przyszło mu na myśl że możeby nie było od rzeczy odnieść pięknej sąsiadce xiążkę zamienioną i oddać ją do własnych jej rąk. Wyszedł więc natychmiast i w kilku minutach był na ulicy Stego Fiakra. Łatwo poznał dom Joasi. Był to piękny pałac. Na dole były sklepy kupieckie; nad jednym z nich wielkiemi złotemi literami stał napis: Magazyn strojów Pani Buonvicini z Medjolanu.

Aż dotąd szło wszystko dobrze. Ale teraz nagle opanowała go taka trwoga, że sam niewiedział co czynić. Przeszedł pod pałacem, przeszedł przez ulicę, i dopiero na drugiej cokolwiek ochłonął. ,,Czemuż niemam wejść, rzekł sam do siebie. Wszakże ja w tym domu niechciałem zrobić nic złego?" Wrócił się, ale za każdym krokiem, rosła w nim dawna bojaźń. ,,Cóż ona pomyśli jak jej xiążkę oddam? Może mię weźmie za natręta? Może powinienem czekać aż sama po nią przyśle? Któraż z córek Pani Buonvicini jest Joasią? Któż mi zaręczy że Joasia jest w domu? Oddałbym xiążkę, straciłbym jedyny zakład moich nadziei."

W takich myślach zatopiony odszedł od pałacu, im bardziej się oddalał, tym mocniej tęsknił się do pałacu; odwrócił się raz jeszcze i poszedł... znowu przez całą ulicę, tak przechodził kilka razy nakoniec za nadejściem nocy znużony wrócił do domu. —

OMYŁKA.

Jednakże poczciwy Blondynek wkrótce się pocieszył. Xiążka Joasi jako rękojmia przyszłego zobaczenia się z nią, pod zamki i rygle jakby więzień stanu osadzoną została.

Wieczerza niesmakowała naszemu Blondynowi; ale kto stawia zamki na lodzie, ten może żyje powietrzem.

I tak bardzo się podobało Blondynowi, że Joasia jest modniarką, a zatem jednego z nim stanu, a zatem byłoby jej bardzo przystojnie iść za Pana Le Blond kupca i własciciela sklepu, jedwabnego, bawełnianego i galanteryjnego. Już czynił sobie rozmaite plany, a ze wszystkich okazywało się jasno iż Joazia jest najlepszą partją dla Pana Le Blond. Zachodziło więc tylko jedno pytanie. Jakimby sposobem można zyskać miłość tego Anioła.

Blondynek wszystko dobrze wyrachował, tylko się w jednej okoliczności okropnie pomylił. Joasia mięszkała wprawdzie w tym samym pałacu co i Pani Buonvicini, ale niebyła jej córką. I przeciwnie była jedynaczką francuzkiego Jenerała de Fano który w czasie oblężenia miasta Namiur otrzymawszy ciężką ranę, pozostać w mieście i leczyć się był przymuszony. Poczciwemu Blondynowi, ani to nawet przez myśl nieprzeszło że zapragnął ręki jednego z najdzielniejszych Jenerałów Francuzkich. On jako zły polityk wcale niewiedział że jest jakis Jenerał Fano na świecie.

Joasia z swojej strony, bo kiedym już czytelnikom zdradził jedną tajemnicę muszę odkryć i

drugą. Joasia nie z mniejszem pomięszaniem wyszła z zaczarowanej jaśminowej altanki, piękny Blondyn niewyszedł jej z pamięci; dziewczęta mają najżywszą pamięć w serduszku, a obraz pięknego Blondyna mieć w sercu, jest to dla młodej osoby rzeczą bardzo niebezpieczną.

Lubo kobiety w ogólności nie są bynajmniej ciekawe, przecież Joasia rada była wiedzieć kto jest ten Blondyn. Ale podejrzanego słowa Blondyn nieśmiałaby wymówić, ani przed Matką ani przed Panną służącą; bałaby się żeby się zaraz czegoś więcej niedomyślano. Dowiadywała się więc dotylko z niechcenia, kto mięszka w sąsiedzkim domu, i usłyszawszy że ten dom i przyległy mu ogródek należy do znakomitego jakiegoś urzędnika przestała na tym będąc już pewną że piękny Blondynek jest jego synem.

Niezadługo dostrzegła zamiany xiążek; z zagięcia karty doszła że chciwy nauki języka Włoskiego Blondyn, doszedł do konjugacji, i zaczyna się uczyć io amo co już ona umiała doskonale tłómaczyć na francuzkie przez słowo j'aime. Ale tą razą przy tłómaczeniu słowa io amo, była bardzo pomięszaną i niespokojną, i chodziła często do pokoju służącej z których okien widać było jaśminową altankę.

Każdego rana zaraz po wschodzie słońca pa-

trzali oboje przez okno do jaśminowej altanki, jedno czekało na drugie, z wymianą xiążek. A ponieważ każde czekało, przeto nadaremnie trzy dni upłynęły. Joasią była niecierpliwą, a Blondynek ledwie nieumarł z tęsknoty.

GODZINY NAUKOWE.

Nakoniec czwartego dnia z rana, zaledwie pokazało się słońce, postanowił Le Blond odwiedzić swoją jaśminową altankę. Przystąpiwszy do okna ujrzał już w ogrodzie modniarki, nadobną postać Joasi przechadzającej się w białym porannym ubiorze pomiędzy drzewami. W mgnieniu oka z jej xiążką w ręku pobiegł do swoich kwiatów i udawał jakoby je zrywał, jednakowo schylając się spoglądał ukradkiem na żywy kwiat po za altanką chodzący. Joasią zbliżyła się do altany i Blondyn także. Oboje pokazali sobie więźniów i zgodzili się na ich wymianę.

Wszedłszy już raz w rozmowę, zaczęli oboje narzekać na trudność języków których mieli się uczyć. Litość jest młodych osób wrodzonym przymiotem; wysłuchawszy więc skarg wzajemnych, przez litość podjęli się oboje uczyć jedno drugiego. Pierwsza godzina po wschodzie słońca przeznaczoną była na lekcje, a altanka z jasminu dla obojga

chciwych nauki, przydała się bardzo zamiast naukowej sali.

Nietracąc czasu przystąpiono natychmiast do lekcji. Oboje siedli przy stole na ławeczce i wzięli xiążkę do ręki.

Bez wątpienia w pierwszych zaraz godzinach uczyniliby w obu językach najlepsze postępy, gdyby niesiedzieli za nadto blisko przy sobie. Ale gdy przypadkiem Blondyn dotknął rękę Joasi, lub co gorsza gdy się spotkały ich oczy, przerywał się mu natychmiast związek myśli, oddech ustawał; albo gdy przypadkiem Joasia czytając xiążkę i wskazując palcem słowa dotknęła się niechcący dłoni Blondyna, tak jej się coś działo osobliwego, że niemogła dojrzeć żadnej litery, lubo w rzeczy samej na krótki wzrok skarżyć się niemogła.

W pierwszej godzinie niemożna się obcego języka odrazu nauczyć; obiecywano więc sobie daleko więcej po drugiej. W obojgu chęć do nauki była tak nadzwyczajną, tak przykładną, że nazajutrz jeszcze przed wschodem słońca, zeszli się w altanie. Ale często zdarzało się, że nauczyciel mówił zupełnie od rzeczy, a uczenniczka okazywała tak mało zdolności, że wskazywała czasem za nisko czasem za wysoko na xiążce; wypadało więc koniecznie nauczycielowi, wziąść jej rękę i postawić na wierszu należytym; ale skoro tylko

jej się dotknął, jakby czarodziejską siłą tracił natychmiast pamięć, i oboje zapominali na czem stanęli. Umilkli, twarz ich płonęła jakby w gorączce, i zatapiali się w głębokie zamyślenie, pewnie dochodząc ducha języka, którego się wzajemnie nauczyć mieli.

Za trzecią godziną, jaka myśl sprawiedliwa, chcieli nagrodzić i poprawić to co w dwóch pierwszych opuścili lub zapomnieli. Aż dotąd sam tylko Blondyn dawał nauki, teraz Joasia miała zostać nauczycielką. Wyznał pokornie, że ucząc się sam, doszedł tylko do słowa io amo, i prosił nauczycielki ażeby go wysłuchać raczyła, bo rozumiał że tę Konjugacją, już dość dobrze umie. Ażeby jednak odnosić wspólnie korzyść z nauki Konjugacji, prosił Joasi, aby każde jego słowo Włoskie na Francuzki język tłómaczyć raczyła.

Siedli więc na ławce, Blondyn odłożył xiążkę na bok, a chcąc raz na zawsze uwolnić się od wszelkiego roztargnienia, uważał że to będzie rzeczą daleko rozsądniejszą, gdy w swoje dłonie weźmie rękę nauczycielki, ażeby się jej przypadkiem niedotykać. Słodkie drżenie przejęło nauczycielkę za dotknięciem ręki, ale na jej szczęście niedostrzegł tego uczeń, doznając podobnegoż uczucia.

Po długiem milczeniu, które się przecież dla

nich obojga bardzo krótkiem zdawało, zaczął nakoniec Blondyn lekcją swoją: „czas teraźniejszy; io amo.“ — Dobrze, że mógł odetchnąć oczekując na tłómaczenie, bo jużby ani słowa wyrzec niepotrafił.

Joasia zarumieniła się, a spuszczając oczy, przetłómaczyła to słowo Włoskie na Francuzkie, i rzekła po cichu: „J'aime.“ —

Długo czekała nim Blondynek przyjść mógł do słowa, i zaledwie mógł wyrzec głosem jąkliwym: „Tu ama.“

Joasia stłumiła westchnienie i rzekła: „Tu aimes.“

On rzekł dalej, przykładając mimowolnie jej rękę do serca: „Egli ama.“

„Il aime“ dodała Joasia prędko i ukradkiem spojrzała na niego. Blondyn trzymał jeszcze jej rękę na sercu, a zapomniawszy zupełnie o języku Włoskim, zawołał z uniesieniem: „Nous aimons.“

„To nietak — rzekła nauczycielka — trzeba to powiedzieć po Włosku.“

Blondyn spojrzał w jej czarne oko i powiedział głosem potającym: „Nous aimons.“

Zaglądanie w oczy jest w cale niepomocne do nauki. Joasia zapomniawszy się odpowiedziała:

„Nous aimons" ale prędko się spostrzegła i napomniała go znowu, że źle mówił.

„Jednakże to nie grzech, rzekł Blondyn i przyłożył jej drżącą rękę do ust rozognionych.

Na takie dowody niemiała co odpowiedzieć. Była przecież niespokojną pewnie o to źe nauka języków szła w zaniedbanie. Długo, w milczeniu, siedzieli przy sobie, a gdy się ich oczy spotkały, usta powtórzyły z niechcenia: „Nous aimons."

Podczas tej lekcji nienauczyli się więcej; ale oboje bardzo wiele pojeli, bo serca ich przemawiały do siebie inszą mową, która przecież niebyła ani Włoską, ani Francuzką. Dwie godziny trwała ta trzecja lekcja, lubo jedno i drugie wiedziało że się rozłączyć trzeba.

POMOC.

Chęć do nauki wzrastała codziennie; a lubo już i poranki były zimne, jeden uścisk rozcieplał całe powietrze. Oboje nauczyli się języków bez Grammatyki, bo mieli bardzo wiele do mówienia z sobą, i nawet gdy niemogli być w jaśminowej altance, rozmawiali jednak za pomocą umówionych znaków, przez okna.

Wprawdzie aż dotąd, Blondyn kochał się

tylko w córce modniarki, Joasia w synu Urzędnika; ale też, dowiedziawszy się o swojej omyłce, gorzko ją okupili łzami. Kochali się tym szczegorzej, tym tkliwiej, im dalszą była nadzieja wiecznego połączenia.

„O! gdybym był tylko bogaty! — mówił Blondyn z westchnieniem.“ „O czemuż nie jestem ubogą“ z westchnieniem powtarzała Joasia.

Na domiar nieszczęścia nadeszła zima. Tajemnicza altanka stała się przezroczystą, śnieg zaprószył wszelkie przejścia, a każdy krok zostawiał ślad po sobie i zdradzał kochanków. Widywali się rzadko, w oknie lub w kościele, albo w Teatrze. Miłość tysiączne ma wybiegi, i tysiączne sposoby wynajdować umie.

Mimo tych wszystkich sposobów, żaden do pożądanego celu nieprowadził. Blondyn wołałby mieć coś więcej niż tęskniącego Adonisa. Oboje zaprzysięgli sobie wprawdzie wieczną wierność, ale oboje powątpiewali, czy potrafią dotrzymać swojej przysięgi.

W smutnych myślach nad losem swoim, zatopiony siedział pewnego dnia Blondyn w jednym z najznakomitszych sklepów winnych w całym Namiur. Już mu i wino nieznośnem było. Nieszczęśliwy! od tygodnia nierozmawiał z Joasią. Tymczasem Joasia od najznakomitszych domów w mie-

ście proszoną była na bale i objady, a co gorsza tego dnia razem ze swemi Rodzicami zaproszoną została na wieczerze i tańce do tegoż samego Urzędnika w którego domu stał Blondyn. Dla tego — nigdy bowiem dawniej niechodził do handlu winnego — dla tego dziś z rospaczy wcześnie w wieczór zamknął swój sklep, i wyszedł z domu, ażeby niesłuchać jak Joasia tańczy mu nad głową. Ah! był bardzo nieszczęśliwym.

Koło niego siedział jakiś Pan już podeszły w szarym surducie, posępny i milczący. Pił szklankę wina jedną po drugiej, i rzekł nakoniec: „Wszakże WPan jesteś młodym Le Blond.“

Blondyn spojrzał na niego, a po szerokiej bliźnie na czole przypomniał sobie, że już tego cudzoziemca od dwóch dni kilka razy widział. Raz w swoim sklepie w którym kupował piękną i bardzo bogatą materją jedwabną, kilka razy na ulicy przechadzającego się często przed jego domem, raz w kościele, i znowu tu. Miał coś nieprzyjemnego w chudej i pożółkłej twarzy, i iskrzące się oczy. Blondyn odpowiedział na jego zapytanie.

„WPan coś dziś niejesteś w dobrym humorze.“ Mówił dalej nieznajomy.

„Być to może. Niemożna być zawsze wesół.“ —

„Pij zemną.“

„Wino niekażdego rozwesela.“

„Bardzo mi to przykro. Mógłże bym ci w czem pomóc.

„Niewiem.“

„Podobasz mi się młodzieńcze. Czuję pociąg ku Tobie. Radbym ci usłużyć. Nieznasz mię; ale bądź tylko moim przyjacielem, miej ufność we mnie, a pewnie ci pomogę.“

„Dziękuję Panu za łaskawą ofiarę.“

„Może cię kto obraził.“

„Nikt.“

„Może się kochasz, a niejesteś kochany.“

„I to nie.“

„Może ci potrzeba pieniędzy. I w tem ci pomogę.“

Blondyn spojrzał wielkiemi oczyma na nieproszonego opiekuna.

„Powiedz. Ileż ci trzeba? kilka tysięcy liwrów, czy więcej? Jesteś dzieckiem szczęścia, i gdybyś tylko chciał mógłbyś być najbogatszym z całego miasta.

„Jak to?“

„Tak jest, gdybyć tylko chciał.“

„I któżby niechciał być bogatym?“

„Dobrze. Ależ tu— wystawisz sobie łatwo— tu, gdzie naszej rozmowy każdy słucha, o takich rzeczach mowić nie można. Jestem obcy w tym

kraju. Gdybyś mi chciał towarzyszyć do mego hotelu, i wieczerzać razem ze mną?“

Blondyn z nieufnością spojrzał na cudzoziemca, a przecież na ten fatalny wieczor gdy Joasia może do późnej nocy tańczyć mu będzie nad głowami; choćby tylko dla zabawienia się i zabicia czasu, ten osobliwszy przypadek nieźle mu wypadał: „Dobrze, pójdę z Panem,“ rzekł i poszedł za nieznajomym.

SKARB.

Cudzoziemiec zajmował w hotelu kilka wspaniałych pokojów. Na jego skinienie w mgnienia oka pobiegło dwóch bogato ubranych służących zamówić wieczerzę. Blondyn nie mało był zdziwiony tem co widział, bo miarkował po wszystkim że cudzoziemiec w szaraczkowym surducie był niezmiernym bogaczem, i mógł do towarzystwa swego przybrać jaką znakomitszą osobę niż tak ubogiego jak on kupca.

„Zkim mam honor rozmawiać — spytał się Blondyn nieco pomięszany.“

„Nazywaj mię po prostu Abubekir — odpowiedział człowiek Szary — pochodzę z familji Chaldejskiej.“

„O mój Boże. WPan byłbyś Chałdejczykiem!

Dlaczego z tak daleka bo aż z Azji przybyłeś w te okolice.“

„Częścią z nudów, , częścią z chęci nauczenia się czegoś więcej. Jak tylko nadejdzie wiosna radbym popłynąć do Irlandji.“

„Do Irlandji! I dawnoż Pan wyjechałeś z Azji.“

Chaldejczyk po chwili namysłu, rzekł z zimną krwią. „Za dwa tygodnie będzie sto dwadzieścia i dwa lat.“

Blondyn rozumiał że się przesłyszał, ale Chaldejczyk powtórzył mu znowu „Sto dwadzieścia i dwa lat.“

„Alež mój Boże. Wieleż Pan masz lat.“

„Trzysta dwanaście z okładem.“

„Trzysta... zawołał zadziwiony Blondyn.“

„Tak trzysta dwanaście — dodał Chaldejczyk spokojnie. Widzę że cię to zadziwia; może myślisz że sobie z tobą żarty stroję. Jeśli bliżej poznasz się ze mną, zobaczysz osobliwsze rzeczy. Zresztą myśl sobie co chcesz, ale na całe życie przyjmij odemnie tę radę: „Nie sądź ludzi z ich słów ale z czynów.

Ta mowa wydawała się bardzo dziwną Blondynowi; pomyślał więc sobie w duchu: „Staruszek chce sobie pożortować zemną. Zobaczemy kto będzie się śmiał przy końcu.“

Służący dali znać, że już jest na stole. Poszli więc oba do pokoju jadalnego rzęsiście oświeconego jarzącem światłem, i woniejącego od różnych Azjatyckich kadzideł. Stół był tylko nakryty na dwie osoby. Siedli; roznoszono najlepsze wina i potrawy; służący odeszli z pokoju.

,,Teraz kochany przyjacielu! — odezwał się Abubekir — używajmy co nam szczęście daje. Porzuć wszelkie troski i kłopoty niech cię już dłużej nie dręczą. Mów do mnie tak szczerze i otwarcie, jak ja mówię z tobą.

Blondyn używał szczęścia, zajadał smacznie wykwintne potrawy, a przy końcu wieczerzy starego wina siła rozgrzywająca, mocno go rozweseliła. Ale zamiast otwartości, wzrastała w nim sprawiedliwa nieufność względem cudzoziemca. Radby był dowiedzieć się czegoś więcej o osobliwszym Chaldejczyku, lubo mu tenże przez cały ciąg wieczerzy opowiadał osobliwsze i do prawdy niepodobne szczegóły, o swoich przypadkach na morzu i lądzie.

,,Wysłuchałem cię z największą cierpliwością — rzekł nakoniec Blondyn — ale opowiadasz mi istotne bajeczki. Czyliż mogli myśleć, ażeby rozsądny człowiek mógł im uwierzyć.,,

,,Wcale mię to nieobchodzi czy mi dasz wiarę czy nie. Musisz jednak uważać że z wielu ta-

jemnicami jestem obeznany. Czy słyszałeś co o Nekromancji.“

„Słyszałem, alem zawsze niewiele o niej trzymał; cała rzecz zasadza się na oszukaństwie, kuglarstwie i filuterji.“

„Niewiem, może tak jest w Europie, ale u nas w Chaldei rzecz się ma zupełnie inaczej.“

„Pokaż jąką sztukę.“

„Ja sztuk niepokazuję. Ale słuchaj młodzieńcze, twarz twoja bardzo mi się podobała. Przysięgam ci, jesteś urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Mów otwarcie ze mną. Mogęż ci w czem pomódz. Moja pomoc więcej dla ciebie znaczyć będzie, niż wszystkie kuglarstwa na świecie. Będąc kupcem, jesteś może potrzebnym pieniędzy?

Blondyn uśmiechnął się z nieufnością i rzekł: „Być może.“

„Dobrze! — zawołał Chaldejczyk. Czemużeś mi tego od razu niepowiedział. Jesteś przeznaczony do odkopania Skarku w ruinach miasta Valerien des Anges.“

„Skarbu?“

„Tak, a nawet znacznego skarbu.“

„Czemuż go sam nieodkopiesz?“

„Ponieważ nie jest przeznaczony dla mnie, i ponieważ go niepotrzebuję.

„Kiedyż mogę znaleźć ten skarb.“

„Jak tylko zechcesz odbyć podróż do Valerien des Anges.“

„Potrzebaż na to jakich przygotowań?“

„Żadnych.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pieśń przy stole podczas Wesela.

z Francuzkiego.

Państwo młodzi niechaj żyją!
Szczęściem naszym ich wesele.
Pijmy, oni mało piją,
Mając nato przyczyn wiele.

Dwoje bóstw razem się skłania,
By dać nam dziś roskosz życia,
Im dają znak do kochania,
A nam dają znak do picia.

Państwo młodzi i t. d.

Myrt błogi skroń ich ożywia,
Bluszcz uwieńcza nasze czoło,
Ich Amorek uszczęśliwia;
A nam z Bachusem wesoło.

Państwo młodzi i t: d:

Piękność młoda czeka ciebie
Ja w dział stare wino wziąłem,
Bracie! gdy ty będziesz w Niebie,
Ja w ówczas będę pod stołem.

Państwo młodzi i t: d:

Przysięga mąż zakochany,
Że swą lubą czci jedynie,
My zaś czciemy na przemiany,
Was szampanie i węgrzynie!

Państwo młodzi i t: d:

Miłość troski życia płoszy.
Wino gasi smutek wszelki,
Nigdy ostatniej roskoszy,
Nigdy ostatniej butelki.

Państwo młodzi niechaj żyją!
Szczęściem naszem ich wesele.
Jeśli oni mało piją,
Mają na to przyczyn wiele.

A n e g d o t a.

JOHNSON.

Pani T. bardzo wiele słyszała o sławnym Angliku Samuelu Johonsonie; chciała zabrać z nim osobistą znajomość, i nakoniec przyjaciele namówili go, że poszedł do owej Pani.

Pani T. była to elegantka żyjąca w wielkim

świecie. Ułożenie Johnsona i powierzchowność jego, nieodpowiedały bynajmniej oczekiwaniu Pani T. Sądząc po jego dowcipie i nauce jakiej w pismach dawał dowody, rozumiała, że i w towarzystwie jest zabawnym i grzecznym. Tym czasem Johnson w rozmowie był niezmiernie lakonicznym i często nie uważał na przyjęte w towarzystwie przepisy grzeczności. Przy obnoszeniu herbaty gdy mu się wydawała nie dość słodką, zamiast szczypczykami leżącemi przy cukierniczce, wziął cukru ile mu było potrzeba swemi pięcią palcami jeszcze w atramencie powalanemi.

Pani T. tą niegrzecznością tak się obruszyła, iż aby pokazać swoje nieukontentowanie, kazała natychmiast cukierniczkę odnieść, a na jej miejsce przynieść inną.

Nie uszło to bacznemu oku Johnsona. Z zimną krwią wypił kilka filiżanek herbaty, i gdy nakoniec pragnienie swoje nasycił, bardzo kosztowną filiżankę razem z łyżeczką cisnął w kumin.

Wszyscy przytomni mocno byli zdziwieni i przestraszeni takim postępowaniem, a Pani T. zawołała: ,,O mój Boże! cóż robisz Panie Johnsonię, popsułeś mi cały mój kosztowny serwis.

Nieskończenie nad tem boleję — odpowiedział Johnson. Ale przyznać się muszę, iż to uczyniłem jedynie z grzeczności. Uważając bowiem ja-

kim się Pani sposobem obeszłaś z cukierniczką, byłem przekonany, iż się nie dotkniesz niczego com miał w moim ręku.

Myśli różne.

z Szyllera.

DZIECIE w KOLEBCE.

Przestrono ci w kolebce, gdyś jest jeszcze dziecię,
Zostań mężem, a szczupło będzie ci na świecie.

NAUKA.

Jednemu jest Boginią, i czci ją z daleka;
A dla drugiego krową, i żyje z jej mleka.

NAJLEPSZY RZĄD.

Po czem poznać Rząd dobry, jakby ci się zdało?
Po tem co dobrą żonę, mówią o niej mało.

DZISIEJSZE POKOLENIE.

Jak dziś byłoż to zawsze? czyż to boska kara?
Starzec ma młodo w głowie, a młodzież jest stara.

SERCE.

„Pan Bóg patrzy na serce.“ Bądźmy w cnocie stali,
Abyśmy mu szpetnego widoku nie dali.

NATURA.

W naturze jest prawdziwa dla nas tajemnica,
Nikt jej nie zna, nie widzi, a wszystkich zachwyca.

GUST i GIENJUSZ.

Gust z Gienjuszem złączony świat tak rzadko widzi;
Czemu? Ten się wolnością, ten wędzidłem brzydzi.

Br: Hr: Kiciński.

Portret Fanny.

Patrz się na Fanny, jak piękna, jak miła;
Ale nie kochaj płochej zwodzicielki,

Być zakochanym jest u niej błąd wielki,
Tego przebaczyć nigdy nie raczyła;
Kochanek tkliwy jest dla niej igraszką,
Tak z nim się bawi jakby z jaką fraszką.
Nudzi ją miłość platonicznie stała,
Czułość mniej zbytnie rodzi udręczenia,
Tak ustawicznie kochanków przemienia;
Jakoby inna stroje przemieniała.
Nikt się jej zręcznych sideł nieustrzeże,
A swej metody tak się trzyma wszędzie,
Iż się modniarki wkrótce radzić będzie,
Jakiego sobie kochanka wybierze.
Tego żywego jak ogień motyla,
Prowadzi jedna uniesienia chwila,
Tak, coś ją zawsze skłania ku nowości;
W jednym jest tylko stałą... w niestałości.
Powaby powierzchowne wszystkie w podział wzięła,
Ale natura gdy ją stwarzała,
Niedokończyła swego arcydzieła,
Duszy jej dać zapomniała.

Pròżność Osła.

BAJKA.

Pewnego razu Osieł niósł na sobie gnój.
Bojąc się powalania bogacz i ubogi

Uciekał z drogi.
„Jak mnie się boją — rzeknie — jak czczą stopień
mój.“
Nazajutrz niósł na targ kwiaty.
Widząc ich zapach miły, ich żywe szkarłaty,
Wszystkich ciekawość uniosła,
Cisną się wszyscy do naszego osła.
„Dziś — rzekł osieł — już bliżej przystępują do
mnie,
Lecz jak przynależy skromnie.
Cóż dziwnego? Czyż kiedy oglądał ten lud
Postać tak znakomitą, tak wspaniały chód.“

Takie często rachuby tworzy głowa ciasna,
Najśmieszniejszą jest rzeczą głupca miłość własna.

Bajki Pana Mollevaux.

Przez Br: Hr: Kicińskiego.

SKAŁA i KROPLA WODY.

„Ty miękka kroplo wody, jestżeś tak zuchwała,
„Mnie chcieć skruszyć com burzę, wichry wytrzy-
Do małej kropli wody, rzekła twarda skała. (mała.“
„Nie bądź w sądach tak skorą, ale czekaj skutku.“
Odpowie upadając kropla po malutku.

Wkrótce upada znowu. Za tysiącznym razem,
Cóż się stało z głazem?
Pękł. — Strzaskawszy opokę kropla przekonywa,
Że wszystko stałość przemoże prawdziwa.

OWOC.

Pewien Ogrodnik mocno ubolewał,
Że owoc w cieniu nigdy nie dojrzewał.
„Wystaw mię — rzekł mu owoc na słońca promienię,
„A ujrzysz jak się zaraz wdzięcznie przyrumienię."
Tak bywa i z talentem; zaraz on dojrzeje
Gdy słońce przygrzeje.

ZASŁUGA PRAWDZIWA.

Wojnę swego Ministra chciała śmierć odmienić;
Suchoty i podagra i chorób tysiące,
Zdatność swoją umiejąc należycie cenić,
Wchodzą by ministerstwo zająć wakujące.
Cóż to? śmierć rzecze, żaden lekarz nieprzybywa,
Takto zawsze jest skromną zasługa prawdziwa.